

Argentina - Chile



Czas trwania naszej wyprawy: 28 stycznia – 3 marca 2007

Uczestniczyło 5 osób: Bartek, Krzysiek, Michał, Błażej i ja

Katowice – Warszawa – Mediolan – Buenos Aires – Mendoza – Punta de Vacas

I stało się. Pierwszy raz w środku zimy wyjeżdżam na letnie wakacje. Zresztą co to za zima w tym roku. Zaledwie na 3 dni przed wylotem spadło trochę śniegu, tak że w piątek jadę na jedyny w tym sezonie wyjazd na deskę do Korbielowa a w niedzielę już siedzę w samolocie do Buenos Aires. Po długim (blisko 13 tys. km z Polski) i męczącym locie z przesiadką w Mediolanie lądujemy nad ranem czasu lokalnego (-4 godziny) w stolicy Argentyny. Odprawa na lotnisku przebiega sprawnie i szybko, tak że odbieramy bagaże, wymieniamy kilka setek dolarów na peso, zmieniamy zimowe ciuchy na letnie i wykupujemy u przewoźnika bilet (28 pesos) na bus z lotniska do głównego dworca autobusowego w Buenos Aires - Retiro Terminal de Omnibus. Już pierwsze zetknięcie z cenami argentyńskimi uświadamia nam, że ceny podawane w Lonely Planet są zaniżone prawie o 1/3. Jak się później przekonamy tak samo będzie się miała sytuacja w Chile. Ceny w obu tych krajach wzrosły dość znacznie, co niestety odbiło się na kosztach całej wyprawy.



Autostrada z lotniska w Buenos Aires

Z ciężkim sercem zatem kupujemy 5 biletów tzw. *semi - cama* (125 pesos) na nocny autobus do Mendoza. W Argentynie, Chile i Brazylii oraz jeszcze kilku krajach Ameryki Południowej, z racji na olbrzymie odległości jakie pokonują autobusy są 3 klasy biletów: pierwsza klasa, cama i semi - cama. W zależności od klasy, fotele w busach można rozłożyć mniej lub bardziej do pozycji leżącej, co oczywiście przekłada się na cenę biletu. Najbardziej ekonomiczne są semi - camy, nie dość że bardzo wygodne to jeszcze najtańsze. Wszystkie autobusy są klimatyzowane, mają toalety, podawane są napoje, i posiłki, a na noc dostaje się poduszki i koce (niestety nie zawsze). Ponieważ nasz autobus odjeżdża po południu zatem przenosimy się z dworca na pobliski skwer gdzie koczujemy kilka godzin, przyzwyczajając się powoli do upałów.



Ruta 7

Wreszcie zbliża się pora odjazdu, zajmujemy więc nasze miejsca w autobusie, zjadamy serwowaną kolację, rozkładamy fotele i... budzimy się w Mendozie. Nie wiedzieć nawet kiedy przejechaliśmy ponad 1000 km. Mija trochę czasu zanim znajdujemy wolny hotel (Hotel Zamara), o który w Mendozie dość ciężko w szczycie



sezonu, po czym zmywamy z siebie to wszystko co się do nas przylepiło podczas tych 2 dni podróży i wyruszamy w miasto. Na początku postanawiamy załatwić permity na Aconcague. Niestety przewodnik LP w opisie miejsca wykupu permity jest nieprecyzyjny toteż tracimy kilka godzin zanim w końcu trafiamy na ulicę San Martin do odpowiedniego office. Tutaj następuje nieoczekiwane zdeżenie z potężną i jak się później okaże powszechną machiną biurokratyczną. Musimy wypełnić kilka formularzy, przedstawić obowiązkową polisę ubezpieczeniową i rzecz jasna uiścić odpowiednią opłatę (700 pesos), ale żeby nie było tak prosto, łatwo i przyjemnie, płatności dokonuje się w oddalonym o kilka przecznic punkcie obsługi klienta (telecabinias) jakiegoś lokalnego operatora usług telekomunikacyjnych przy ulicy La Valle. Dopiero z paragonem potwierdzającym dokonanie transakcji zakupu wraca się do office po odbiór permity. Iście montypythonowski absurd!!! W międzyczasie dokonujemy wymiany pieniędzy w jednym z banków, znów zaskoczeni ogromem biurokracji jaka towarzyszy tej prostej operacji. Następnie uzupełniamy braki w naszym szturmowym ekwipunku kupując po 4 małe kartusze gazu na głowę płacąc po targowaniu 17,5 pesos za jeden. Kupujemy też bilety (18 pesos) na poranny autobus (jeżdżą 3 na dobę) do Punta de Vacas czyli miejsca gdzie zaczyna się droga Polaków na Aconcague.



Punta de Vacas

Rano następuje szybkie przepakowanie, część rzeczy w porozumieniu z recepcjonistką zostawiamy w małych plecakach w hotelowym depozycie i po lekkim śniadaniu idziemy na dworzec, skąd o 10:00 odjeżdżamy lokalnym busem. Wśród pasażerów przeważają turyści, którzy jak my mają w planach poskromić Ankę. Autobus stopniowo pnie się w górę, a droga dostarcza nam fantastycznych widoków; pod nami rwąca górską rzeka a nad nami ośnieżone szczyty Andów. Po 3,5 godzinnej podróży i licznych kontrolach policyjnych dojeżdżamy do Punta de Vacas, maleńkiej osady z olbrzymim parkingiem i punktem kontrolnym dla tirów jadących z Chile do Argentyny. Są tu na szczęście też lokalne knajpki, tak że jemy ostatni pyszny posiłek, gdyż odtąd na nasze menu będą składać się wyłącznie wstrętne liofilizaty, zupki chińskie, chrupkie pieczywo i polskie kabanosy. W końcu w dobrych humorach, sporym upale i z okrutnie ciężkimi plecakami (nie bierzemy mułów) ruszamy w stronę pierwszego campu Pampa de Lenas.

Punta de Vacas – Pampa de Lenas – Casa de Piedra – Plaza Argentina (Base Camp)

Początkowo ścieżka idzie dość łagodnie i monotennie szeroką doliną, po czym stopniowo zaczyna się piąć w górę. Dookoła dużo zieleni, kwitną kwiaty, a na kamieniach wygrzewają się jaszczurki. I pomyśleć, że trzy dni temu było pełno śniegu... w Polsce. Niestety sielankową atmosferę psują nam cholernie ciężkie plecaki, których paski wrzynają się w ramiona, a ciężar powoduje nieznośny ból pleców. 1/3 naszego ekwipunku zajmuje nam szurm-żarcie, reszta to ciepłe ciuchy, śpiwory, namioty... Co godzinę marszu zmuszeni jesteśmy robić 20-sto minutowe przerwy żeby



odpocząć i złapać drugi oddech. Do tego upał i suchy wiatr wysuszają nas na wiór, tak że woda zaczyna niebezpiecznie szybko nam schodzić. W końcu już po zmroku docieramy do pierwszego obozowiska - Pampa de Lanás (2800 mnpm), rozbijamy namioty, gotujemy coś na szybko i piekielnie zmęczeni zasypiamy.



dolina

Wstajemy późnym rankiem, jemy śniadanie, pakujemy się i idziemy do *guardaparque* podbić nasze permity i dopełnić formalności związanych z wejściem do parku. Zostajemy wpisani do wielkiej księgi, po czym każdy z nas dostaje worki na śmieci ścisłego zarachowania. Trzeba będzie je zwrócić (rzecz jasna pełne) kończąc trekking, a ich utrata jest bardzo dotkliwa - kara wynosi bowiem 100 dolarów.

Wyruszamy zatem dalej, tego dnia odcinek do przejścia jest nieco dłuższy. Przechodzimy wiszącym mostem rwącą rzekę Rio de las Vacas i idąc teraz jej prawą stroną znów bardzo wolno pokonujemy kolejne kilometry. Ścieżka raz prowadzi przez olbrzymie polany z wielkimi kępami zielonych krzaków o ostrych kolcach, to znów przez wielkie rozlewiska rzeczne. Pod koniec dnia psuje się pogoda, zaczyna padać deszcz przechodzący w grad. Na szczęście udaje nam się zdążyć przed większą ulewą i schronić w małym, kamiennym schronie Casa de Piedra (3200 mnpm).



Case de Piedra

Zanim rozbijemy namioty postanawiamy przeczekać większy deszcz w schronie. W towarzystwie portera, który przyszedł z mułami na nocleg do Casa de Piedra gotujemy wieczorny posiłek i odganiamy ptaki, które bezczelnie pchają nam się do menażek. Porter tymczasem zapala ogień przed schronem i gotuje wodę na herbatę. W Argentynie wszyscy piją bardzo charakterystyczny dla tego regionu napój - *yerba mate*. Parzy się go w specjalnych naczyniach i pije specjalnymi rurkami, jak przez słomkę. Zostajemy przez "naszego" tubylca poczęstowani ową herbatą, która w mokry, zimowy, andyjski wieczór smakuje doskonale. Niestety brak znajomości hiszpańskiego nie pozwala nam nawiązać konwersacji, a szkoda, bo chętnie



posłuchalibyśmy jakiś opowieści od miejscowego górala. Tymczasem przestaje padać więc rozbijamy w sąsiedztwie schronu namioty, do których się przenosimy na nocleg.



Przejście przez rzekę

Rano znów nieśpiesznie wstajemy, czekając w namiotach aż słońce zaleje całą dolinę. W nocy był już lekki mróz, więc specjalnie nie chce się opuszczać ciepłych śpiworów. W końcu pojawia się słońce, tak że robi się od razu dużo cieplej. Po lekkim śniadaniu i wysuszeniu namiotów pakujemy się i ruszamy do base campu. Zaraz na początku drogi musimy pokonać szeroką, ale stosunkowo płytką rzekę. Woda ma zaledwie kilka stopni, tak że zimno przenika stopy i nogi do szpiku kości. W dodatku trzeba iść niezmiernie czujnie żeby nie glebnąć z całym dobytkiem w rwący nurt. W końcu jesteśmy na drugim brzegu, ubieramy buty i ruszamy w głąb wąskiej doliny, a raczej wąwozu. Tego dnia mamy do pokonania 1000 m w pionie. Wąską ścieżką, po sypkich piargach, idziemy wzdłuż rzeki raz w górę, raz w dół a widoki wokół nas robią się wręcz fantastyczne. Nareszcie droga zaczyna piąć się w górę, tak że w końcu zyskujemy na wysokości. Po godzinie mozolnego podejścia wychodzimy ponad wąwóz, na olbrzymi płaskowyż. Niestety znów trzeba pokonać rzekę, tym razem węższą ale głębszą. Czas też na krótki odpoczynek.



Base Camp

Powoli daje się nam we znaki wysokość, tempo wyraźnie spada, a przerwy robią się coraz dłuższe i częstsze. Robi też się zdecydowanie chłodniej. Ruszamy w głąb płaskowyżu, a im dalej i wyżej tym roślinności coraz mniej, aż w końcu nie rośnie już nic - krajobraz robi się bardzo surowy. Czuję, że do base campu już coraz bliżej, a najbardziej czują to moje ramiona, plecy i serce, które zaczyna wchodzić na coraz wyższe obroty domagając się brakującego tlenu. Tymczasem upragnionego base campu jak nie ma, tak nie ma. Psuje się za to pogoda i zaczyna padać mokry śnieg. W końcu jest - Plaza Argentina (4200 mnpm) w całej okazałości. Potwornie zmęczony zrzucam plecak i pomagam Krzychowi rozbić namiot. W niezbyt klarownej, lodowcowej wodzie gotujemy liofilizat na obiadową kolację. Ależ to jest niedobre, trzeba się zmuszać



żeby zjeść to paskudztwo. Chyba lepszym pomysłem byłoby więcej zupek chińskich, ale cóż, jak się nie ma co się lubi...

Pogoda w dalszym ciągu niewesoła, więc chcąc nie chcąc wskakujemy do śpiworów i zasypiamy zmęczeni.

Plaza Argentina – Campo Pollaco 1 – Punta de Vacat – Penitentes – Puente del Inca – Mendoza

Pierwszy dzień pobytu w base campie przeznaczamy na formalności i odpoczynek. Najpierw meldujemy się u rangersów, którzy weryfikują nasze permity i dają nam kolejne worki - tym razem na nasze własne kupy, jeżeli takowe będziemy robić w wysokich obozach, w których to nie ma toalet. Następnie udajemy się do presympatycznego obozowego lekarza, który bada nam tętno, ciśnienie i saturację, czyli stopień nasycenia hemoglobiny tlenem. U zdrowego człowieka powinien być on wyższy niż 95%. W base campie ludzie mieli saturację w granicach 86-96%, tymczasem mój pomiar pokazał 75%!!! Co ciekawe czułem się całkiem dobrze, jedyne co mi dolegało to brak apetytu.



Penitenty

Żeby nie zmarnować całego dnia i świetnej pogody, która się zrobiła a zarazem podnieść naszą aklimatyzację, po południu idziemy w kierunku obozu pierwszego, zrobić sobie zdjęcia z penitentami. To fantastyczne formacje śnieżno-lodowe, które potrafią dochodzić do kilku metrów wysokości. Pierwszy raz widzę coś takiego, toteż nie żałuję pamięci w mojej cyfrze...

Wieczorem w Plaza Argentina spotykamy pierwszych Polaków, których jak się okaże później będzie w rejonie Aconcaguy cała masa. Nieoczekiwanie na obóz spada tragiczna wiadomość o tym, że schodząc ze szczytu zginął młody Polak, a prawdopodobną przyczyną śmierci był obrzęk płuc, bądź mózgu. Ta straszna wiadomość uzmysławia nam jak niebezpieczną górą jest najwyższy szczyt Ameryki Południowej. Ja tymczasem zaliczam badanie u lekarza i znów ten sam wynik - 75%. Lekarz dodatkowo osłuchuje mi płuca, ale wszystko jest w porządku. Na kolejne badania mam się zgłosić rano.



Aconcagua



Poranek wita nas znów piękną pogodą, słońce pali niemiłosiernie, przydaje się zatem krem z filtrem UV 66. Wizyta u lekarza nie przynosi nic nowego, na szczęście dostaję pozwolenie na wyjście do obozu pierwszego. Funkcja obozowego doktora jest niezwykle ważna - to on wydaje zgodę na wyjścia w wyżej położone obozy. Niedostosowanie się do jego zaleceń automatycznie przekreśla ewentualną akcję ratunkową w przypadku jakiś kłopotów u góry.

Pakujemy zatem nasze plecaki jedzeniem i gazem, które wyniesiemy do góry i ruszamy. Początkowo idzie mi się całkiem dobrze, ale mniej więcej w 2/3 drogi dopada mnie kryzys. Wysokość oraz stromy, sypki żleb wyciskają ze mnie resztki sił. Do tego wszystkiego dochodzi bardzo silny ból głowy. Mam ochotę zawrócić i to zaledwie jakieś 300 m przed obozem. Chłopaki mijając mnie mobilizują mnie dobrym słowem i powoli z wielkim trudem wchodzę do Polacos Campo 1 (5000 mnpm). Mam kompletnie dość gór i tej cholernej Anki. Nigdy wcześniej nie miałem takich problemów i to na dużo większych wysokościach... Z ulgą pakuję jedzenie i gaz do worka, wypijam chyba z litr wody i odpocząwszy chwil parę schodzę w dół.



Polacos Campo 1

Na dole, wieczorem znów wizyta u lekarza i znów beznadziejne wyniki, co ciekawe saturacja spada mi do 74%. Jutro mamy się przenieść do pierwszego obozu a tu taki kanał. Doktor zaczyna powoli odradzać mi pchanie się do góry, a na kolejny dzień zaleca mi odpoczynek w base campie i uzupełnianie płynów wskazując odwodnienie jako jedną z przyczyn braku aklimatyzacji. Dogaduję się zatem z poznaną grupą Ślązaków, że kolejną noc będę spał u nich w namiocie. Mają extra wolny namiot, po tym jak ich kolegę z kłopotami zdrowotnymi zwiózł w dół helikopter. I tak robię, nazajutrz rano żegnam się z chłopakami mając nadzieję, że dołączę do nich za 2 dni i przenoszę się do "gościnnego" namiotu.

Cały dzień nudzę się niemiłosiernie bo moi nowi gospodarze poszli do jedyńki z rzeczami. Zgodnie z zaleceniami piję ile tylko mogę, przez cały dzień udaje mi się wlać w siebie 3 litry płynów. Kolejna wizyta u lekarza nie wnosi jednak nic nowego, tak że rano podejmę ostateczną decyzję co dalej.

Tego dnia udaje mi się zamienić kilka słów z Leszkiem Cichym, który wraz z grupą Polaków rekreacyjnie wchodzi na Aconcague, oraz z grupą Serbów, którzy zeszli ze szczytu. Ci ostatni przebijali się przez metrowe zaspy na szczyt. Wyglądają jak zdjęci z krzyża, ale są bardzo szczęśliwi...

W nocy nie mogę spać, organizm jakoś nie bardzo chce wchłoniąć nadmiar płynów, którym go uraczyłem. Rano, niewyspany czuję, że mam spuchniętą twarz i dłonie. Z niewesołą miną idę do lekarza jak do starego znajomego. Oczywiście wyniki mam za przeproszeniem do dupy, zresztą sam wygląd mówi wiele o mojej kondycji zdrowotnej. Tak, więc klamka zapadła schodzę w dół, dalsza zabawa w ciuciubabkę nie ma sensu. Szlag by to trafił - pierwszy raz dałem ciała na całego... Wścikiły na siebie i na cały świat pakuję plecak, żegnam się z moimi nowymi znajomymi i przez nich przekazuję wiadomość chłopakom, którzy tego dnia mają przenieść część rzeczy do dwójki. Powoli zaczynam schodzić w dół tą samą drogą, którą wchodziłem tydzień wcześniej.





Aconcagua

Śpię kolejno w Casa de Piedra i Pampa de Lenas, pod gołym niebem rzecz jasna bo namioty wzięli chłopaki. Wspaniale jest zasypiać pod przepięknie ugwieżdżonym niebem południowym. W drodze do Pampa de Lenas spotykam chłopaka, którego kilka dni wcześniej zwiózł helikopter. Twierdzi, że czuje się już doskonale i goni swoich przyjaciół, pewnie nigdy się nie dowiem jak mu dalej poszło...

W Pampa de Lenas oddaję mój służbowy worek na śmieci i pokonuję ostatnie kilometry do Punta de Vacas. Jestem słaby, niewiele jadłem przez te ostatnie kilka dni, twarz mam lekko jeszcze opuchniętą oraz spaloną słońcem i wiatrem, popękane wargi do krwi, dłonie w bąblach od poparzeń słonecznych, brudny, nieogolony - jednym słowem koszmar.



dolina

Pierwsze kroki po wyjściu z doliny kieruję do baru gdzie zamawiam zimne piwo i obiad. Jakże wspaniale smakuje lokalny quilmes - pierwsze piwo od przeszło tygodnia. Tego smaku nie da się z niczym porównać!!! Po obiedzie wsiadam w busa i jadę kilka kilometrów do Penitentes, gdzie postanawiam zaczekać na moją ekipę. Za nocleg ze śniadaniem w niespecjalnym hostelu zmuszony jestem zapłacić 12 USD.

Pierwsze co robię to doprowadzam się z grubsza do stanu używalności czyli prysznic, golenie i pranie. Dopiero po tych zabiegach idę na małą przechadzkę po okolicy, w której oprócz nieczynnych hoteli, wyciągu krzeselkowego na pobliskie wzgórze, stacji benzynowej i knajpy nie ma nic więcej. To skromny ośrodek narciarski, który tętni życiem tylko w zimie. Tego dnia kładę się dość wcześnie do łóżka i zasypiam kamiennym snem.

Rano niestety opuchlizna wciąż się utrzymuje, aczkolwiek jest już mniejsza. Czyli generalnie wracam do zdrowia, zaczyna mi też w końcu dopisywać apetyt. Po południu jadę do oddalonego o 6 km Puente del Inca, osady położonej u wrót doliny Horcones czyli głównego szlaku na Aconcague. Jest tu jeden sklep, knajpa, oraz masa budek z typowym *shit for tourist*. Bezpośrednio przy stacji nieczynnej kolejki wąskotorowej znajduje się olbrzymi most skalny z kolorowymi naciekami. Niestety nie sposób się do niego dostać bo całość jest poddana renowacji bądź konserwacji. Odpuszczam sobie więc tą atrakcję i idę do doliny Horcones rzucić ostatni raz okiem na Aconcague.



Pokonanie 3km trasy zajmuje mi jakieś pół godziny, ale rzecz jasna warto bo Anka prezentuje się naprawdę ładnie. Niestety czas mnie goni, muszę zdążyć na autobus, którym wracam z powrotem do Penitentes.



ptak

Rano stwierdzam, że dłużej nie wysiedzę w tej dziurze i postanawiam wracać pierwszym bussem do Mendoza. Wysyłam chłopakom SMS co, gdzie i jak, mając nadzieję, że pierwsze co zrobią po zejściu z gór to włączą komórki, i w samo południe opuszczam Penitentes. Po 4 godzinach bez żadnych przygód jestem w Mendozie, gdzie najpierw udaję się na szybki posiłek, a następnie do hotelu po odbiór mojego depozytu. Tu z przykrością odkrywam, że skradziono mi mojego playera mp3. W sumie bez sensu, że w ogóle go zostawiłem, ale wiadomo, ograniczaliśmy górski ekwipunek do minimum. No cóż szkoda...

Zanim wyruszam w poszukiwaniu wolnego hostelu, zrzucam ciepłe ciuchy i z ulgą wskakuję w letnie rzeczy i klapki. Niestety to środek sezonu letniego, tak że dopiero w piątym miejscu znajduję coś wolnego. Hostel Independencia (28 pesos), w którym się zatrzymuję znajduje się w samym centrum miasta, ma dostęp do darmowego netu, kuchnię ...i stół do tenisa stołowego. Tak że czekając na chłopaków nie będę się nudził i rzeczywiście przez te 2 dni szwędam się po mieście, gram w ping-ponga, oraz surfuje po necie. Zawieram też kilka znajomości m.in. z Japończykiem, Chilijczykiem i Francuzką, z którymi co jakiś czas popijam piwo, bądź wino i miło gawędzę. Trzeciego dnia odzywają się chłopaki, ustalamy że do Mendoza pod wieczór przyjedzie Krzysiek pomóc mi zabrać cały depozyt a z resztą spotkamy się w Puente del Inca jadąc do Chile.



Puente del Inca

Odbieram więc Krzycha na dworcu autobusowym i razem idziemy do Independencii. Po drodze Krzysiek zdaje mi relację górską. Okazuje się że na szczyt wszedł on i Michał – tak że chłopaki gratulacje. Sukces acz częściowy niemniej jest, tak że pełen "szacun" i jeszcze raz słowa uznania...

Odbieramy resztę rzeczy z hotelowego depozytu stwierdzając zaginięcie drobnych monet, które były w plecakach. Na szczęście nie było tego wiele więc strata żadna, radzę jednak omijać Hotel Zamara szerokim łukiem. Wieczorem idziemy na potężną kolację, piwo i lody. Z tymi lodami to też ciekawa historia. W Argentynie i Chile na



każdym kroku są olbrzymie lodziarnie (helados), w których sprzedawanych jest około 30-40 przeróżnych smaków. Niestety nie znając hiszpańskiego człowiek nie jest w stanie wybrać sobie takich rodzajów jakie by chciał, gdyż lody są opisane, a zbiorniki z których się nakłada gałki zamknięte pokrywami. Tak że albo zamawia się jakieś z grubsza znajome nazwy albo wybiera się jak na loterii.

Rankiem pakujemy się i taksówką (6 peso) jedziemy na dworzec autobusowy, skąd mikrobusem odjeżdżamy do Santiago de Chile (60 pesos), po drodze zabierając resztę ekipy z Puente del Inca.

Mendoza – Santiago de Chile – Pichilemu – Pucon – Santiago de Chile

Tak więc znów jesteśmy w komplecie. Przed nami bardzo ładna góraska droga nr 7 oraz przejazd przez położony na wysokości 3200 mnpm tunel del Cristo Redentor o długości 3080 m. Jest to tunel graniczny, który wybudowano w 1980 roku. Tuż za tunelem znajduje się duży terminal odprawy granicznej, do którego jest całkiem spora kolejka. Zderzenie biurokracji, durnych przepisów, oraz wzajemnych animozji między tymi krajami powoduje, że zwykła odprawa osiąga granice absurdu. Trzeba wypełnić masę papierków i zadeklarować, że nie przewozi się m.in. owoców, nasion i przetworów mięsnych. Bagaże zostają prześwietlone, w celu wykrycia tego co zabronione, obwąchane przez psy i wrywkowo zrewidowane. Totalna paranoja żywcem wyjęta z czasów najgłębszej komuny. Cała ta szopka przeciąga się w nieskończoność, ale najlepsze przed nami - policja u pewnej babci znalazła paczkę grochu!!! Biedna kobieta musi się tłumaczyć z przemytu grochu, na szczęście kończy się bez jakiejś represji, towar zostaje zarekwirowany, a my w końcu, co za ulga, po prawie 3 godzinach możemy jechać dalej.



Serpentyny

Kilometrami krętych serpentyn zjeżdżamy powoli w dół a górski, surowy krajobraz zaczyna powoli ustępować nizinnemu pełnemu roślinności, palm i winnic. W końcu zajeżdżamy na jeden z dworców w Santiago de Chile, gdzie okrutny żar leje się z nieba, a mój termometr pokazuje 35oC. Przenosimy się w jakieś zacienione miejsce i idziemy rozejrzeć się za kantorem i jakimiś biletami. Do wyboru mamy plaże w Vinia del Mar bądź Pichilemu. Ponieważ ta druga miejscina jest nazywana oazą surferów, dlatego też niewiele się namyślając kupujemy właśnie przejazd do Pichilemu (4000 pesos). Przed odjazdem jemy szybkiego *fast fooda* popijając go lokalną *bebida* (bebida to po hiszpańsku napój) i odjeżdżamy nad wybrzeże Pacyfiku. Do Pichilemu dojeżdżamy już po zmroku, dlatego nie wybrzydząc wiele bierzemy pierwszy lepszy hotel (Hotel Bahia - 5500 pesos). Ponieważ cały dzień spędziliśmy w autobusach, czym prędzej się odświeżamy poczym udajemy się w poszukiwaniu knajpy. Z racji tego, że jesteśmy nad oceanem zgodnie zamawiamy wszyscy lokalne ryby z frytkami i białym winem. Pycha!!! Ja generalnie jestem wielkim smakoszem ryb i w każdym kraju zawsze próbuję miejscowe specjały, zwłaszcza rybne.





Pichilemu

Po naprawdę obfitym posiłku idziemy na plażę, gdzie bujnie kwitnie życie towarzyskie i mimo wywieszonych zakazów wszyscy raczą się alkoholami wszelkiej maści. Nie jest tu specjalnie czysto, a na dodatek wieje silny i zimny wiatr, tak że szybko się zmywamy i wracamy do hotelu. Na drugi dzień przechadzamy się po mieście, odwiedzamy lokalny targ, na którym kupujemy masę bardzo tanich i pysznych brzoskwiń, śliwek, winogron i bananów. Będzie z tego niezła ucztą. Ustawiamy się też w jednej ze szkół surfu na 2 lekcje nauki ślizgania się po falach. Udaje nam się wytargować dość korzystną cenę dla całej piątki (10 tys pesos/osobę) i załatwić instruktora znającego angielski.

Punktualnie o 18 stawiamy się w szkole. Dostajemy pianki (woda w Pacyfiku ma temperaturę Bałtyku w lecie), butki i dechy, i za trenerem idziemy dzielnie na plażę wzbudzając niemałe zainteresowanie lokalnych *chikil*. Zanim jednak nastąpi próba sił z morskim żywiołem musimy odbyć całą serię gimnastycznych ćwiczeń. Musi to wyglądać bardzo komicznie jak sześciu facetów w piankach biega po plaży, rozciąga się, robi skłony, przysiady, pady, w każdym bądź razie do tej pory przyglądające się nam dziewczyny zaczynają wyjmować aparaty i pstrykać nam zdjęcia. Show na całego.



Surf Schop

Wreszcie koniec gimnastyki, nareszcie nadchodzi czas na wtajemniczenie nas w trudne aspekty związane z surfowaniem. Sprawa wydaje się na pierwszy rzut oka prosta, zwłaszcza jak wszystko robi się na sucho na narysowanej na piasku desce. Cóż, czas to w końcu zweryfikować. Wchodzimy do oceanu, kładziemy się na deskach i machając rękami (ależ to jest cholernie męczące) płynie za Hosi w stronę wielkich fal. Już pierwsza fala sprowadza mnie na ziemię a raczej do wody. To co wydawało się łatwą okazuje się niebywale trudną sztuką. Toż to trzeba być akrobatą cyrkowym żeby stanąć na desce nie mówiąc już o utrzymaniu się na niej. Mimo kilkakrotnych prób udało mi się zaledwie raz stanąć na 1 sekundę poczym potężna fala wyrzuciła mnie z deski w kłębiący się żywioł. W ciągu godzinnej walki z falami zaliczyłem raptem 2-3 ślizgi na leżąco, co było i tak wielkim przeżyciem i sporym sukcesem. W końcu skrajnie zmęczonego któryś z morskich bałwanów wyrzuca mnie na plażę, 2 km od miejsca w którym zaczęliśmy surfować. Chcąc nie chcąc, z dechą pod pachą, wracam zatem na piechotę do szkoły. Szczerze mówiąc myślałem, że mimo wszystko będzie łatwiej... Na drugi dzień zaraz po śniadaniu idziemy na kolejną lekcję.



Tego dnia fale są jeszcze większe niż zeszłego wieczora. Na dodatek piekielnie bołą mnie żebra od leżenia na twardej desce i ręce od machania w wodzie. Oczywiście zaczynamy od gimnastyki dopingowani przez liczne plażowiczki. Nie powiem żeby były jakieś postępy w nauce, znów udaje mi się zaliczyć kilka ślizgów na leżąco, a że fale są naprawdę spore to deska nabiera całkiem sporych prędkości. Zabawa jest wyśmienita, szkoda tylko że nie możemy choć zbliżyć się poziomem do naszego instruktora. Ale o czym tu mówić - Hose od dziecka surfuje, a my właśnie zaliczyliśmy "nasz pierwszy raz"... Po deskowaniu wracamy do hotelu, kupując po drodze bilety do San Fernando (2500 pesos) i po południu opuszczamy sympatyczne Pichilemu. Niestety w San Fernando nie udaje nam się kupić biletów bezpośrednio do Puconu, dlatego jedziemy nocną *camą* tylko do Temuco (20 tys. pesos), a stąd dopiero dalej do Puconu (2000 pesos).



Pucon – wulkan Villarrica

Pomimo iż w tej górskiej miejscinie hosteli jest bez liku znalezienie czegoś taniego zajęło nam aż 1,5 godziny. Zakwaterowawszy się idziemy na śniadanie i obmyślamy strategię działania na najbliższe 2 dni. W planach mamy wejście na czynny wulkan Villarrica, który góruje nad miasteczkiem oraz rafting na rzece Trancura. Obie te atrakcje można załatwić w licznych agencjach turystycznych, rzecz jasna za niemałe pieniądze. Decydujemy się zatem tylko na wykup raftingu, gdyż na wulkan będziemy się wspinać na własną rękę. Płacimy za tę przyjemność kartą VISA (18 tys. pesos/osobę), gdyż powoli zaczyna nam ubywać dolarów.

Po południu zostajemy zapakowani do busika i jedziemy kilkadziesiąt kilometrów na miejsce gdzie zaczyna się spływ. Tutaj przebieramy się w pianki, dostajemy kaski i kamizelki ratunkowe. Według organizatora rzeka ma stopień trudności IV+ w **VI stopniowej skali**, czyli całkiem nieźle jak na nasz debiut... Jeszcze na brzegu dostajemy pierwsze instrukcje od naszego kapitana i sternika zarazem, poczym wodujemy ponton i zajmujemy w nim miejsca. Poznajemy komendy, które od razu ćwiczymy na spokojnym jeszcze nurcie rzeki. Jest ich około dziesięciu i dopiero jak nasz zespół zaczyna je wykonywać pewnie i szybko ruszamy na podbój Trancuari.



Rafting

Odcinek, którym popłyniemy ma kilkanaście przeszkód, które mają swoje nazwy i różne stopnie trudności. W ciągu 1,5 godzinowego spływu emocji nie zabrakło, zwłaszcza jak na jednej z przeszkód wyrzuciło Michała z pontonu jak z katapulty. Na



szczęście po sprawnej i szybkiej akcji naszej załogi znalazł się on z powrotem w pontonie. Było jeszcze kilka miejsc gdzie serce podchodziło nam do gardła, woda lała się na nas z każdej strony, a kapitan wrzeszczał na nas jak opętany. W końcu, po komendzie: wszyscy do wody, ostatni etap pokonujemy wplaw. Na brzegu czeka na nas poczęstunek i łyk pisco na rozgrzewkę. Rafting należał naprawdę do udanych, a my jesteśmy zmęczeni ale zadowoleni. Na drugi dzień wypożyczamy samochód (38 USD) i jedziemy pod wulkan Villarrica. Tutaj przebieramy się w ciepłe ciuchy i ruszamy na szczyt. Niestety w połowie drogi zostajemy zawróceni przez straż parkową. Okazuje się że aby wejść na własną rękę trzeba mieć specjalne pozwolenie. Nie pomagają argumenty, że wspinaliśmy się na Aconcague, strażnik, a raczej jego przełożony, z którym się łączy przez radio jest nieugięty. Cóż mówi się trudno, pocieszamy się tym, że pogoda tego dnia jest wyjątkowo paskudna i to co jest główną atrakcją czyli oglądanie lawy wewnątrz krateru tego dnia i tak by było niemożliwe.



Santiago de Chile

Chcąc nie chcąc wracamy do naszego fiata uno i jedziemy w przeciwną stronę do źródeł termalnych Los Pozones, płacąc za wejście do nich 3500 pesos. To bardzo popularne miejsce wśród turystów jest pięknie wkomponowane w zieloną dolinę, którą płynnie mała rzeczka. Znajduje się tutaj kilka basenów, w których woda ma różną temperaturę. Siedząc w takich gorących basenach, można zapomnieć o bożym świecie i całkiem przyjemnie odpocząć. Po dwóch godzinach moczenia się wracamy do Puconu, oddajemy wypożyczony samochód i już z plecakami idziemy na dworzec autobusowy skąd nocnym busem jedziemy do Santiago de Chile (22,5 tys. pesos).

Po przyjeździe do stolicy Chile kupujemy bilety na nocną semi came do Antofagasty (26,5 tys. pesos) i metrem ([plan metra](#)) za 380 pesos jedziemy do centrum.



Panorama Santiago de Chile

W jednym z marketów nabywamy jogurty, bułki, sery, wędlinę i tak zaopatrzeni idziemy na wzgórze Cerro Santa Lucía, gdzie robimy sobie pyszne śniadanie. Jedząc rozkoszujemy się piękną panoramą centrum Santiago, która roztacza się ze wzgórza. Po śniadaniu idziemy do Muzeum Sztuki Prekolumbijskiej (2000 pesos, w niedziele wstęp wolny), a później na piwo na jeden z okolicznych placów. Długo jeszcze szwędamy się po w sumie mało ciekawym mieście by w końcu wieczorem odjechać do Antofagasty.



Santiago de Chile – Antofagasta – San Pedro de Atacama – Gejzery el Tatio – Salar Atacama – Laguna Miscanti – Salta

Po dwudziestogodzinnej jeździe wieczorem zajeżdżamy do drugiego pod względem wielkości miasta w Chile. Niestety znów mamy pecha, bo następny autobus z wolnymi miejscami do San Pedro de Atacama (5100 pesos) jest dopiero w południe następnego dnia. Zostajemy więc na przymusowy nocleg w Antofagastie. Wieczorem nie bez trudu znajdujemy jakąś knajpę, w której zjadamy obfity posiłek. Znajdujemy też całkiem sympatyczny pub, w którym zostajemy na kilka browarków. Tak pokrzepieni wracamy do hotelu by zasnąć pierwszy raz od 2 dni w prawdziwym łóżku. Rankiem udajemy się na zakupy do położonego wprost na plaży hipermarketu, po czym w towarzystwie pelikanów zasiadamy do śniadania nad Pacyfikiem. W samo południe odjeżdżamy do Atacamy i wieczorem jesteśmy już w przepięknie położonej oazie, otoczonej ośnieżonymi wulkanami. Znów tracimy sporo czasu żeby znaleźć tani i przyzwoity hotel, w końcu decydujemy się na Hostel San Pedrinio (5000 pesos) Dzień kończymy nieoczekiwanie o 5 rano na pustynnym ognisku z tubylcami, śpiewając, tańcząc i drinkując z przesympatyczną ekipą. Jednym słowem *...nikt się nie spodziewał hiszpańskiej inkwizycji...*



San Pedro de Atacama

San Pedro de Atacama to miasteczko jakby żywcem przeniesione z XIXw. Małe, wąskie uliczki pozbawione bruku z białymi budynkami krytymi na ogół strzechą, dużo rowerów, niesamowity klimat i urok, oraz przepiękna okolica i masa atrakcji sprawiają, że miejsce to jest niezwykle popularne wśród turystów. Z myślą o nich jest tutaj całe mnóstwo agencji turystycznych, hoteli i przeróżnych knajp i knajpeczek. I właśnie jedną z takich agencji (Atacama Connection) odwiedzamy na drugi dzień, wykupując kompleksowo cały pakiet wycieczek, za który ze zniżką płacimy 60 USD od osoby (bez opłat za wejścia do rezerwatów). Na pierwszą z nich jedziemy już po południu. Na początek spacer po przepięknej Dolinie Śmierci (Valle de la Muerte), potem przejazd do kolejnej - Doliny Księżycy (Valle de la Luna) z niezwykle formami skalnymi i gwóźdź programu zachód słońca na pustyni. To ostatnie mocno naciągane i przereklamowane. Wieczorem tradycyjnie już zabawiamy w którymś z pubów, wyrównując poziom płynów, które nam zabrało pustynne słońce i upał. W kolejnym dniu wykupujemy bilety na autobus do argentyńskiej Salty (30 tys. pesos), a popołudniu pożyczamy rowery i deski piaskowe (5000 peso za komplet) i jedziemy do Doliny Śmierci na sandboarding.



Valle de la Muerte

Bawiłem się w to już kiedyś w Peru, tak że w przeciwieństwie do reszty ekipy nie mam specjalnych problemów ze ślizganiem się po piaskowych wydmach. Wykręcam całkiem niezłe prędkości, ale jak to bywa bardzo często, ostatni zjazd kończy się spektakularnym upadkiem i bardzo bolesnym stłuczeniem biodra. Z wielkim trudem



wsiadam na rower i wracam do miasteczka. Dobrze, że tego dnia nie mamy w planach żadnych więcej atrakcji bo wszelkie poruszanie się sprawia mi olbrzymi ból. Tej nocy śpimy bardzo krótko bo już o 4 rano wyjeżdżamy na gejzery El Tatio, które swoją największą aktywność mają o wschodzie słońca. To najwyższe położone gejzery świata, bo na wysokości około 4300 mnpm. Pierwszy raz mam okazję oglądać tego typu zjawisko i muszę przyznać, że jest to coś fantastycznego. Dookoła unosi się para z gotującej się wody, wszędzie też słychać charakterystyczny bulgot. Co raz też jakiś gejzer strzela w górę strumieniem wody. Niestety nasz przewodnik goni nas okrutnie i nie zabawiwszy tu zbyt długo wracamy do Atacamy.



Gejzery El Tatio

Po drodze zatrzymujemy się jeszcze w niezwykle maleńkiej, przepięknie położonej wiosce. Tych kilka chałup i kościółek na wzgórzu, oraz pasące się wokół lamy prezentują się niezwykle malowniczo nadając temu miejscu niezwykły urok. Jednak i tutaj nie dane jest nam nacieszyć się widokami. Zapędzeni do busa wracamy do San Pedro de Atacama. Wieczorem tradycyjnie krzepimy się piwem w jednej z knajp. Następnego dnia wyjeżdżamy na ostatnią już tym razem całodniową wycieczkę po okolicy. Na początek podziwiamy flamingi nad Laguną Chaxa, która stanowi część olbrzymiego Salaru Atacama. Przepięknie prezentują się te różowe ptaki na tle ośnieżonych wulkanów z dominującym nad pozostałymi wulkanem Licancabur (5920 mnpm).



Wioska

Następnie wyjeżdżamy nad położone na wysokości 4200 mnpm Laguny Miscanti i Minique. Oczom naszym ukazuje się widok wręcz bajkowy. Jakby ktoś całą okolicę pomalował kredkami, tak intensywne są tutaj kolory. Dominuje błękit nieba i jeziora, żółć roślinności i biel chmur oraz ośnieżonych szczytów. Rewelacja. Aż żal, że znów tak krótko jesteśmy w tak przepięknym miejscu.

W drodze powrotnej zatrzymujemy się na lunch w wiosce Toconao, a stamtąd już prosto wracamy do San Pedro. Wieczorem pożegnalną imprezą zamykamy nasz pobyt



w Chile. Rankiem z plecakami przenosimy się na rynek, gdzie wcinając śniadanie czekamy na nasz autobus do Salty. Nieco spóźnieni ruszamy w końcu by po około 3 km stanąć do chilijskiej odprawy granicznej. Rzeczywista granica jest kilkadziesiąt kilometrów stąd, ale z racji tego, że dalsza okolica to totalne pustkowienie i bardzo wysokie góry, Chile umiejscowiło swój punkt graniczny właśnie w San Pedro de Atacama. Mimo iż przed nami nie ma żadnych pojazdów, formalności zajmują aż 1,5 godziny. Wreszcie jedziemy dalej. Droga pnie się cały czas w górę by w końcu osiągnąć niebywałą wręcz wysokość prawie 4800 mnpm. Pałace do tej pory słońce zostaje przesłonięte deszczowymi chmurami, a padający deszcz wkrótce przechodzi w śnieg. My tymczasem zjeżdżamy do przełęczy Jama (Paso de Jama) i tu na wysokości 4300 mnpm stajemy grzecznie w ogonku czekając na swoją kolej tym razem do argentyńskiej odprawy.



Salar z flamingami

To niezwykle wysoko położone przejście graniczne dla części podróżnych okazuje się być wręcz zabójcze. Brak tlenu powoduje, że ludzie chodzą na pół przytomni, nic więc dziwnego że wszystko przeciąga się w nieskończoność. Do tego ta cholerna argentyńska biurokracja. W międzyczasie mamy możliwość oglądania w akcji labradora, który wyraźnie zainteresował się wełnianym obrusem w jednej z walizek któregoś z podróżnych. Pomimo że celnicy nic nie znaleźli delikwentów skierowano na rewizję osobistą a ich auto odholowano do dokładnej kontroli. My tymczasem po 3 godzinach ruszamy w dalszą podróż. Droga bardzo długo biegnie jeszcze przez wysoki płaskowyż by wreszcie kilometrami niezwykle śmiałych serpentyn zejść do San Salvador de Jujuy. Tutaj część pasażerów wysiada, a my jeszcze kilka godzin przemierzamy do Salty, do której dojeżdżamy mocno spóźnieni tuż przed północą. W planach mieliśmy nocny przejazd od razu do Resistencii, ale z braku autobusu zostajemy na 1 dzień w Salcie. Jak się okaże była to całkiem trafna choć niezamierzona decyzja.



Laguna Miscanti



Salta – Resistencia – Parque Nacional Chaco – Puerto Iguazu – Parque Nacional Iguazu (Argentina) – Parque Nacional Iguazu (Brasil) – Buenos Aires

Pomimo późnej pory nie mamy problemu ze znalezieniem noclegu, gdyż załatwia to za nas jeden z wielu naganiaczy na dworcu, oferując nam całkiem sympatyczny hostel Backpacker i darmowy przejazd taksówką. Kupujemy więc bilety na następny dzień, na autobus do Resistencji (91 pesos) i jedziemy do hostelu (16 pesos ze śniadaniem). Tam po szybkiej kąpeli idziemy na pobliski plac w samym centrum miasta na pyszną kolację. Nazajutrz zwiedzamy Salte, która okazuje się być bardzo ładnym miasteczkiem ze wspaniałą kolonialną zabudową, i mnóstwem zieleni. Wraz z Krzychem decydujemy się na wjazd kolejką na wzgórze św. Bernarda (12 pesos), z którego roztacza się wspaniały widok na całą okolicę. Jako że upał tego dnia jest wyjątkowo dokuczliwy to siadamy na szczycie w knajpce i raczymy się pysznym zimnym piwem o nazwie Salta. Zgodnie stwierdzamy iż, z racji tego że w okolicy jest mnóstwo atrakcji można by tu zostać spokojnie na 2-3 dni. Czas nas zaczyna jednak powoli gonić, tak że żeby wyrobić się z jedną z największych argentyńskich atrakcji jaką jest wodospad Iguazu musimy gnać do przodu. Z żalem opuszczamy późnym popołudniem Salte po to by wcześniej rano znaleźć się w Resistencji.



Lamy

Niestety zanim udaje nam się kupić bilet na kolejny nocny autobus do Puerto Iguazu (65 pesos), ucieka nam autobus do Parku Narodowego Chaco. Ponieważ następny jest dopiero w południe dlatego decydujemy się na pożyczanie samochodu (120 pesos), którym jedziemy do Parque Nacional Chaco (wejście gratis). Jest to bardzo mały rezerwat, w którym tak naprawdę nic nie ma. A powinna być cała masa zwierząt, o czym informują nas liczne tablice. Szkoda, pewnie ten potworny upał jaki tutaj panuje przegnał je głęboko w dżungle. Wracamy do Resistencji, oddajemy auto i po bardzo długich poszukiwaniach znajdujemy w końcu jakąś knajpę, w której zjadamy obiad. Włączymy się jeszcze później po tym mało ciekawym mieście by wreszcie, co za ulga, wbić się do klimatyzowanego busa i odjechać do Puerto Iguazu.



Salta



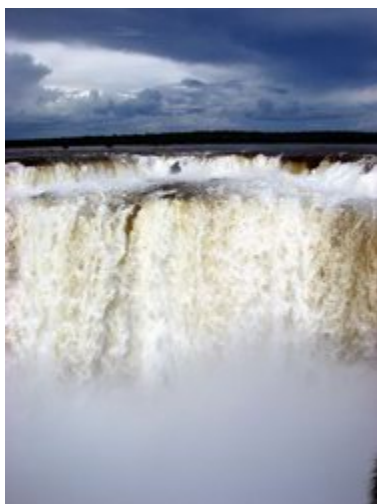
Wczesnym rankiem jesteśmy u celu. Pierwsze co robimy to rzecz jasna kupujemy bilet na następny dzień do Buenos Aires (137 pesos), a następnie udajemy się w poszukiwaniu hostelu. Żeby nie tracić cennego czasu bierzemy to co akurat jest blisko, wolne i tanie. Tak więc Błażej, Michał i Bartek lokują się w Iguazú Falls Hostel, a ja z Krzychem w El Guembe Hostel House (25 pesos od osoby ze śniadaniem). Po szybkiej porannej toalecie odjeżdżamy lokalnym bussem do oddalonego o 20 km Parque Nacional del Iguazu. Tutaj pośrodku dżungli znajduje się ok. 250 wodospadów, które mają w sumie prawie 2500 m szerokości i osiągają wysokość 80 m. Najbardziej znane z nich to: Dwóch Braci, noszący nazwisko odkrywcy wodospadów Alvera Nuñeza Cabezy de Vaca oraz najwspanialszy - Gardziel Diabła (*Garganta del Diabolo*). Wstęp do parku kosztuje 30 pesos + opcjonalnie 45 pesos za możliwość podpłynięcie do kilku wodospadów łodzią. Rezerwat zwiedza się spacerując po licznych pomostach, które poprowadzono zarówno nad wodospadami jak u ich podnóża. Co jakiś czas można spotkać całe stada ostronosów polujących na jedzenie turystów. Zwierzę może i sympatyczne ale strasznie wścibskie i bezczelne.



Iguazu

My tymczasem podziwiamy cataratas pstrykając bez opamiętania masę zdjęć. Wreszcie nadchodzi czas na mały rejs potężną łodzią z dwoma 250 konnymi silnikami. Ubrani w kamizelki ratunkowe zajmujemy miejsca w łodzi i wpływamy w olbrzymią chmurę drobniutkich kropelek wody jakie unoszą się ze spadającej z wysoka wody. Efekt niesamowity, wewnątrz gęstej mgły nic nie widać a hałas spadającej wody zagłusza ryczące silniki. Wszystko to trwa 2-3 sekundy poczym wypływamy z tego kotła czarownic po to żeby zatoczyć krąg i płynąć ponownie. Fantastyczna sprawa. Szkoda, że ta przyjemność trwa tak krótko. Zupełnie mokrzy, ale bardzo zadowoleni udajemy się na ostatnią atrakcję jaką jest przejazd kolejką wąskotorową do najbardziej widowiskowego wodospadu Garganta del Diabolo. I rzeczywiście - nazwa jest iście adekwatna do tego co się nam ukazuje. Potężna ściana wody uderzająca w dół z trzech stron z ogromną siłą robi niesamowite wrażenie. Znowu robimy dziesiątki zdjęć, z których każde wydaje się być lepsze od poprzedniego. Niestety dochodzi 18:00 i trzeba wracać żeby zdążyć na ostatni, powrotny pociąg. Po drodze udaje mi się wypatrzeć wspaniałego tukana oraz leżącego leniwie w wodzie kajmana. Wieczorem w Puerto Iguazu mamy możliwość uczestniczyć w wielkiej feście na zakończenie karnawału. Przez miasto przetaczają się dziesiątki tańczących w rytmach samby młodych, skąpo ubranych dziewcząt. Do tego wszędzie słychać głośnie bębnienie całej masy przeróżnej wielkości bębnow, w które rytmiczne uderza jeszcze większa liczba chłopców. Ten rewelacyjny spektakl trwa do białego rana.





Iguazu

Po bardzo krótkiej i niewyspanej nocy odjeżdżamy pierwszym autobusem o 7:00 rano do Brazylii żeby zobaczyć brazylijską część Parque Nacional do Iguazu. Tutaj na granicy nie ma praktycznie żadnych formalności, wszystko przebiega sprawnie i szybko. Co ciekawe kontroli brazylijskiej nie ma w ogóle. Jakiś kilometr za granicą przesiadamy się do kolejnego busa, który jedzie bezpośrednio do bram parku. Nie mamy co prawda tutejszej waluty - reali, ale na szczęście można płacić argentyńskimi peso i dolarami. O godzinie 9:00 lokalnego czasu (+1 godz. w stosunku do Argentyny) stajemy pod kasami, niestety okazuje się że kasy otwierają o godzinie 10:00. Co za debilizm, musimy zatem uzbroić się w cierpliwość i czekać wraz z gęstniejącym z minuty na minutę tłumem.

W końcu otwierają, płacimy VISA, w sumie tyle samo ile płaciliśmy dzień wcześniej i wsiadamy do parkowego autobusu, który zawozi nas pod Gardziel Diabła. Tutaj najpierw oglądamy wodospad z wieży widokowej, po czym zjeżdżamy windą w dół, gdzie w tęczowej aureoli prezentuje się jeszcze ładniej.



Iguazu

Z racji tego, że do parku wjechaliśmy pierwszym autobusem możemy spokojnie napawać się widokami, bez ścisaku i dzikich tłumów których tu zawsze pełno. Niestety czas nas goni, gdyż o 14:00 z Puerto Iguazu powinniśmy wyjeżdżać do Buenos Aires. Nic dziwnego zatem, że jesteśmy jedynymi pasażerami autobusu opuszczającego rezerwat. W oczekiwaniu na kolejny autobus tym razem już do granicy, otrzymujemy propozycję przejazdu za 50 pesos taksówką bezpośrednio do Puerto Iguazu. Niewiele się namyślając wsiadamy i w 15 minut jesteśmy na granicy. Niestety olbrzymia kolejka zniechęciła naszego kierowcę do czekania na odprawę, dlatego rzuciwszy pogardliwe *Argentina...* opuścił nam cenę przejazdu do 40 pesos i zasugerował busa (jeżdżą bez oczekiwania w kolejce). Tak też zrobiliśmy, po szybkiej odprawie złapaliśmy paragwajski autobus i płacąc 3 pesos od osoby wróciliśmy do Puerto Iguazu.





Iguazu

Jak się okazało nasz pośpiech był zbyt szybki, gdyż autobus podstawiono z 3 godzinnym opóźnieniem, co jest ewenementem bo generalnie w Ameryce Południowej ten środek transportu na ogół jest bardzo punktualny. W końcu opuszczamy Iguazu i po nocnej jeździe docieramy rano na Retiro Terminal de Omnibus, skąd metrem ([plan metra](#)) jedziemy do centrum. W okolicy ulicy 9 lipca znajdujemy całkiem sympatyczny hostel w cenie 25 pesos ze śniadaniem od osoby.



Buenos Aires

Na zwiedzanie Buenos Aires pozostało nam w zasadzie popołudnie, cóż więc poza ścisłym centrum możemy zobaczyć? Niewiele, zresztą dziwnym trafem wszystko jest w remoncie, pozamykane, bądź też jak w przypadku gmachu kongresu czy budynków na Plaza de Mayo otoczone wysokim płotem. Jedynie biały obelisk na ulicy 9 lipca dumnie prezentuje się z każdej strony.

Wieczorem idziemy na tradycyjny argentyński stek, czyli lomo do jednej z licznych knajp. To najbardziej popularna argentyńska potrawa, choć trzeba przyznać, że w Buenos Aires najlepiej ją przyrządzają. Po kolacji przenosimy się na pobliski plac, gdzie popijając piwo przyglądamy się parom tańczącym równie słynne argentyńskie tango. Późną nocą wracamy do hotelu na ostatni już nocleg w Ameryce Południowej. Rano taksówką (55 pesos) jedziemy na lotnisko. Tutaj musimy jeszcze zapłacić opłatę lotniskową (18 USD), po czym odlatujemy do Rzymu. W Rzymie mamy aż 6 godzin na kolejny samolot do Warszawy, tak że nie wiele się namyślając jedziemy podmiejskim pociągiem (5,50 EUR) do centrum miasta. Szybkim krokiem przemierzamy wieczne miasto oglądając po drodze Coloseum, Forum Romanum, Fontannę di Trevi czy hiszpańskie schody. Rzecz jasna po drodze zaliczamy obowiązkową pizzę. Nieco spóźnieni ostatnim możliwym pociągiem wracamy na lotnisko, skąd odlatujemy do Polski.



Na koniec kilka rad i sprawdzonych patentów:

- Tradycyjnie już jedynym środkiem płatniczym jaki zabraliśmy były dolary. Używaliśmy też kart kredytowych VISA (bardzo korzystny przelicznik).
- Od obywateli RP nie są wymagane wize do żadnych z opisywanych krajów.
- Warto znać język hiszpański, gdyż znajomość angielskiego w Ameryce Południowej jest znikoma.
- Przewodniki LP *Argentina* oraz *Chile* mają dużo nieaktualnych informacji, a zawarte w nich ceny znacznie odbiegają od rzeczywistych.
- Z racji na częste kradzieże w Argentynie trzeba niezmiernie uważać na swoje rzeczy.
- W Argentynie w obiegu zdarzają się fałszywe pieniądze, dlatego wymiany pieniędzy należy dokonywać wyłącznie w bankach.
- Zarówno w Chile jak i Argentynie z reguły od godziny 13:00 do 16:30 jest sjesta, podczas której zamykane jest praktycznie wszystko. Podobnie jest w niedziele kiedy to handel zupełnie zamiera.
- Zalecam zabieranie do nocnych autobusów ciepłych rzeczy, bądź śpiworów gdyż w nocy można porządnie zmarznąć.
- Z pośród wielu przewoźników autobusowych zdecydowanie polecam firmę **Andesmar**.
- W Argentynie przyjęło się dawać bagażowemu wkładającemu, bądź wyjmującemu nasz plecak do i z autobusu drobne napiwki rzędu 0,5 peso.
- Całe jedzenie, które mieliśmy przeznaczone na wejście na Aconcague zabraliśmy z Polski. Były to liofilizaty (nie polecam), zupki chińskie, gorące kubki + jedzenie typu zalej i zjedz, czekolady + różnego rodzaju batony, daktyle, pieczywo WAZA, szyneczki w plastikowych opakowaniach, kabanosy (zdecydowanie polecam), mleko w proszku i kaszki. W Mendozie kupiliśmy kartusze gazowe (250ml) po 4 na głowę (3 w zupełności wystarczą).
- Należy pamiętać o ubezpieczeniu górskim, bez którego nie dostanie się permitu na wejście na szczyt.
- W czasie naszej pięciu tygodniowej wyprawy przejechaliśmy 10 tys. kilometrów, głównie bardzo wygodnymi nocnymi autobusami.

